

Nazywam się Jadwiga Gwacka. Mieszkam w Białymstoku, ul. Wyszyńskiego 4b m.18. Urodziłam się 9 września 1918 roku w Szumowie. Byłam na stronie sowieckiej, a zaraz 15 km od nas była granica niemiecka. Miałam 22 lata jak mnie wywieźli na Sybir. Przed tym pracowałam ze swoim tatusiem w gospodarstwie.

Jak Sowieci przyszli to u nas mieli swoje biura-sielsowiety, bo to była duża gmina, parafia. Pracowało u nich dużo żydostwa. My im nie przeszkadzaliśmy i oni nam nie przeszkadzali.

Wywieźli nas 20 czerwca 1941 roku, przed samą wojną niemiecko-sowiecką. Przyszli rano, godzina trzecia nad ranem, otoczyli dom. Weszło trzech do środka, wywołano całą rodzinę tatusia a potem mnie z dzieckiem i nojego teścia. Przywieźli teścia pod nasz dom, poładowali nas na furmanki i powieźli do śniadowa gdzie znajdował się dworzec kolejowy.

Tam załadowali nas dwa wagony bydłych po cztery rodziny. Tam była ubikacja razem, woda, no wszystko. Raz na dzień wypuszczali nas po wodę. Raz na dzień dawali jedzenie: jakąś zupę, śledzie.

Wieźli nas przez sześć tygodni. W ciągu dnia odstawiali nas na bocznicę, wagony stały, tylko w nocy nas wieźli.

Dojechaliśmy do Mińska, to już ogłoszono wojnę-Niemiec poszedł na Ruska. Myśleliśmy, że może nas gdzieś Niemcy zatrzymają w drodze, ale nie udało się.

Zawieźli nas- to była nowosybirska obłość, altajski kraj, miasto Rubcówka- do alabastrowego zawodu. Tam był młyn, który miał gips, wyrabiano takie figurki.

Z ojca rodziny to byli: ojciec, nacocho, dwie siostry i brat, no i ja byłam z dzieckiem i teść.

Przyjechaliśmy tam w ^{sierpniu} lipcu, a już w październiku,

pod koniec września wyjeżdżaliśmy stamtąd ,dlatego, że gdy nas już Ameryka, Anglia oswobodziła i my byliśmy wolni grażdanie na ziemi ZSRR, wolno się było poruszać,tylko w dużych miastach nie mogliśmy się osiedlać.

Nas wozili tak od września do listopada.W listopadzie zawieźli nas nad taką dużą wodę,nawet nie wien jak się nazywała ta miejscowość.Tam było strasznie dużo ludzi i właśnie tam się tworzyła armia Andersa,Wanda Wasilewska tam była.

Tam nas trzymali cały miesiąc.Chcieli nas wywieźć za tę wodę.Wdzień nas umieszczali na barkach,a w nocy myśmy uciekali.To ruskie nam powiedzieli-" Polaki ,wy nie dajcie się tam wywieźć,bo tam zdechniecie jak sobaki,bo tam nic nie ma prócz ryżu,tam tylko jedna woda i ryż". I myśmy się nie dali po prostu wywieźć.Jak zaczęła się epidemia, wszyscy zaczęli umierać,bo tam leżeliśmy pod gołym niebem, potem dawali nam trochę zupy i chleba,bo już nie było, ludzie umierali z głodu,to podstawili wagona i powieźli nas dalej.

Tam w alabastrowym zawodzie zmarł mój tatuś na dur brzuszny i ja zostałam jako opiekun rodziny.Mój teść miał 72 lata i ja musiałam się rodziną zająć.

W czasie podróży moje dziecko zachorowało na odrę, potem dyfteryt i zmarło.Dowieźli nas do miasta Frunza,to było w Kazahstanie i tam zostawiłam to dziecko na dworcu. Jeszcze dwóm kobietom zmarły dziewczynki takie po roczku, mój synek miał 2,5 roku.

Teść sztachetki z płotów poobłanywał i porobił takie skrzyneczki tak, że mój syn w jednej skrzyneczce,a tante dwie dziewczynki były w drugiej.Nie pochowaliśy dzieci,bo już

przyszły podwozy zaprzężone w byki i nas wieźli do kołchozu, a tu nie było jak zostać. Moje siostry były jeszcze młode - jedna miała 12 a druga 15 lat, teść chory na krwawą dezynferencję, zaczęli płakać, rozpaczać, że jak ja zostanę a oni pojedą, to się nie odnajdziemy i oni poumierają, no bo kto się nimi zaopiekuje. I brat jeszcze taki młody był, miał 17 lat i też chorowity.

Pojechaliśmy, zawieźli nas do kołchozu i ja się tam silnie rozchorowałam, wszyscy myśleli, że umrę.

Jak wyzdrowiałam, to zaczęłam pracować. Chodziliśmy w pole. Dostawaliśmy po 40 dag chleba - pracujący, a dzieci po 100 gram.

Ten kołchoz nazywał się Uspienówka. Tam zmarł już mój teść.

Potem przenieśliśmy się do sowchozu - nie pamiętam nazwy i w tym sowchozie byliśmy do końca do 1946 roku i stamtąd w 1946 roku wyjechaliśmy do Polski.

W 1946 roku, tak samo w czerwcu, dostali rozkaz ruskie, że mają nas ewakuować do Polski. To był taki pośpiech, że człowiek nie pamiętał, żeby wziąć jakiś świstek z tego sowchozu. Ja miałam takie zaświadczenie, że płaciłam składki na ZPP, a więcej nic nie posiadałam. Momentalnie w parę dni podstawili furmanki z końmi i wieźli nas na dworzec do Frunzy.

Tam też stały takie bydlęce wagony i do nich nas załadowali. Dostaliśmy tylko trochę kretonu, żeby uszyć sukienki, bo tak chodziliśmy w workach, bosie, mieliśmy podmrażane nogi. Polki, które umiały trochę szyć, uszyły sukienki, a tak to nic na sobie nie miałyśmy - nawet bielizny.

Do Polski wieźli nas tylko cztery tygodnie. Ja nie chciałam jechać z tymi repatriantami na zachód, tylko do swojej ojcowizny. Ale nic nie zastaliśmy po przyjeździe.

Wszystko było spalone, ograbione, bo jak Niemcy odchodzili to całą wioskę spalili, nawet studnia była kamieniami zasypana. Ci ludzie, którzy tam byli to jakoś się odbudowali a my przyjechaliśmy bez niczego.

Brata i siostrę zostawiłam u kuzynów a sama z średnią siostrą pojechałam do kuzynki, do Zielonej Góry, która miała pomóc mi załatwić pracę w fabryce.

Byłam wdową, nie zastałam męża po powrocie, on był na froncie, potem z frontu wrócił, Żydzi zaczęli go zdradzać do Sowietów, że on przez granicę przeprowadza. On się musiał ukrywać. I cóż, gdy oni stawiali mnie pod karabinem i mówili "skaży gdzie twój mąż", to co ja mogłam powiedzieć? Mówiłam, że do Niemca uciekł nie chciał ze mną żyć i już. I potem gdzieś zginął. Dwanaście osób było wywiezione jako tacy zakładnicy i gdzieś zaginęli także żaden nie wrócił..

Nas wywieźli za to, że nasze rodziny były u Niemca i mieli nas za szpiegów. Mój brat, jak to grodzili tę granicę i posyłali na roboty Sowietów, więc tam starsi od niego chłopcy byli, namówili go i poszli, przeszli granicę. A tatuś mój był z kieleckiego, cała jego rodzina była w kieleckim i mój brat poszedł tam, tam pracował i tam żył. A mnie z teściem i z dzieckiem wywieźli za męża.

Gdy nas wywieźli do Rosji to już nie miałam kontaktu ani z bratem ani ja z mężem, ani z rodziną, nic. Posyłałyśmy listy, ale nie było odpowiedzi, listy wcale nie dochodziły do Polski, bo jak wróciliśmy to powiedzieli, że żadnego listu od nas nie dostali.

Z naszej wioski było wywiezione sześć rodzin, też tak jak my wywiezieni za "szpiegostwo", bo ci mężczyźni się ukrywali, to tam za coś byli ścigani, a z niektórych

rodzin t^o już cały czas w Warszawie mieszkał, a Warszawa była pod Niencem, to policzyli, że on szpieg bo ma rodzinę za granicą. My byliśmy razem z inną rodziną z naszej wioski, pozostali byli wysadzeni dwa przystanki bliżej, przed nami. Trzymaliśmy się potem cały czas razem.

Jeden z tych ruskich, którzy po nas przyszli, był bardzo dobry. Był jednym z dwóch, którzy pozostali w środku, a reszta chodziła na zewnątrz. Kazał tatusiowi brać wszystko, nawet mówił: "Bieri kojku bo u nas niet tawo." Łóżko! Gdzie tam łóżko, tego nie braliśmy. Żywności wzięliśmy dużo, mieliśmy świnie to zaraz sąsiedzi przyszli i zabrali, dali za to słoninę, mięsa trochę.

W Kazahstanie nie było latem w ogóle wody, musieliśmy nawadniać pola. Motykami robiliśmy kanały i doprowadzaliśmy wodę pod górkę.

Zimą młóciliśmy konopie, na jesieni kosiliśmy konopie, trzeba było zbierać.

Mieliśmy kartki na chleb. Młodsza siostra pilnowała dostaw -wy ale często było tak, że chleba nie dowożono.

Jeżeli chodzi o zarobki to zdrażały się i takie miesiące, że kazali nam dopłacać, a że dopłacać nie mieliśmy z czego, dalej robiliśmy za darmo.

Co mieliśmy, to wymienialiśmy, głównie na żywność.

Kradliśmy także. Obok było pole buraków, wysyłałam swoją siostrę, żeby nałamała liści. Takie dziecko chociaż nawet złapali to nie ukarali mocno. I szło się do ruskiej prosić, żeby serwatki dała, żeby to zakiścić. Ona da tej serwatki to wieczorem kiedy się idzie z pola to trzeba jakiejś trawy wiązki, jakiegoś ziela dla krowy, żeby się odwdzińczyć tej Rosjance. Albo prosiło się o łupiny, które potem z mąką

piekliśmy.

Chorowałam tam na dur brzuszny, sześć tygodni prócz wody gotowanej nic w ustach nie miałam. Stałam to prowadzali mnie jak dziecko, włosy mi wyszły, byłam łysa, chorowałam na żółtaczkę.

Gdy jechaliśmy w transporcie, nikomu nie udało się uciec, próbowali, nic nie wyszło. Tam chodzili i pilnowali z karabinami. Wychodziliśmy tylko po wodę. Gdy ktoś przyniósł te dwa wiadra, póki staliśmy to było dobrze, kiedy zaczynaliśmy jechać, to woda nam się wylewała. Starsi namawiali mojego synka "Tadziu, prosz, tawariszcz daj wady ja pic haczu". To on prosił przez okienko. Niektórzy byli dobrzy, mówili "Dawaj malczyszka butyliku". To podawaliśmy czajnik, czy konewkę i dawali wodę.

Jak łapali tych ludzi, którzy chcieli uciec, nie było żadnych konsekwencji.

W domu też mój tato poszedł konia karmić, pozwolili konia nakarmić bo sąsiad nas wiózł, wziął swojego i naszego konia bo -wieźli nas oddzielnie, jako że liczyliśmy się jako dwie rodziny, to tato mógł uciec. Poszedł za stodołę a potem polami. Ale stwierdził, dzieci wywiozą a ja co tutaj sam będę robił, no i wrócił.

Nawet ja mogłam uciec. Do śniadowa jechało się borem. Kiedy chciało się siusiu, to strażnik szedł za mną, a ja potem za krzaczek i mogłam gdzieś dalej pójść, ale nie mogłam zostawić rodziny.

Moja macocha się od nas odłączyła, już w Kazachstanie. Mieszkaliśmy z jedną rodziną, kobieta ją namówiła, żeby się odłączyła. Macocha nie chciała z nami tylko z tamtą, ona miała poduchy, pierzyny, Myślała, że jak się odłączy to jej

będzie lepiej. Potem się rozdzieliliśmy-myśmy pojechali do jednego sawchozu a oni do drugiego. Po powrocie do Polski dowiedziałam się że ona zmarła.

Brat jak nas wywieźli to miał 17 lat. Pracował w polu, jeździł bykami.

W alabastrowym zawodzie ładowaliśmy i zdejmowaliśmy kawałki gipsu, jak go zmielono to ładowaliśmy worki, ja przy figurkach pracowałam. Tato pracował przy maszynie parowej, która była na rzece.

Tato zachorował na dur brzuszny, najpierw leżał w domu, potem zabraliśmy go do szpitala, zanim rozpoznano chorobę, to zmarł.

Jak zawieźli nas do tego zawodu, to najpierw byliśmy w szkole. Potem jak szkoła miała się zacząć to nas pokwaterowano u ruskich. Mieszkaliśmy u dobrej kobiety, ona się nami opiekowała i pomagała i w nauce języka i we wszystkim. Tato to dobrze mówił bo on był w 1914 roku w wojsku w Rosji.

W sowchozie pracowaliśmy na podsobnym chazajstwie, to znaczy w takim ogrodnictwie. Gdy trzeba było na wiosnę sadzić, kopać to myśmy tam pracowali. Gdy przyszło ciepło to już nas gnali na konopie, ponieważ w tym chazajstwie pojawiały pomidory, dynie itp. i już tam nie pracowali Polacy. Konopie plewiliśmy, trzeba było je zbierać, wiązać w snopy, zestawiać. I zimą też pracowaliśmy przy konopiach i ruskie też tam zimą pracowali.

Gdzie była najcięższa praca tam pędzili Polaków.

Chorowaliśmy na malarię. Gdy tak się zachoruje w pracy to łożyli chorego w brudzie, przykrywali czymś, bo to tak trzepie, że można nieba liznąć. I nie dawali nam zwolnienia.

Trzeba było przechorować tak trzy czy cztery dni. To tak wymęczyło człowieka, że nie mógł na nogach stać a musiał, bo jak szedł brygadier, to trzeba było stać na motyce opartym, żeby on widział, że się robi. Gdy odchodził, to ~~po~~łożyło się w bruzdzie, żeby poleżeć.

Na tym podsobnym choziajstwie, to dostawaliśmy nie chleb ale mąkę -40 dag, mąkę razową a na dziecko 10 dag.

Młodsza siostra chodziła w góry i zbierała dzikie kartofle, takie bulwy, jak się ugotowało to tak się to lepilo, i z mąką na blasze się piekło placki.

Wyrabiali tam pustaki, kierpicze, słoma i glina, koń chodził i wyrabiał. Ten koń złamał nogę, on wyrabiał/ to się później wkładało do formy i to schło, z tego robiono potem domki/skórę ściągali i sprzedawali mięso w kiosku. Myśmy tam dorwali tego mięsa -to był rarytas!

Przez pewien czas nieliśmy ~~debb~~ dobrze- przychodziła pomoc z UNRR-y. Byli pełnomocnicy, którzy rozwozili to wszędzie. Dostawaliśmy i mąkę, i konserwy, i mleko i ubrania.

Moje siostry były w sierocińcu. Już sierociniec był przygotowany do wyjazdu, do Iraku, to nagle się to wszystko urwało. Bo ruskie razem przyjeżdżali do tego Iraku tymi transportami.

Nieliczni mężczyźni, którzy tam byli poszli potem do wojska. Mojego brata mieli wziąć, ale on był tak chory, na żołądek, krwawa dezynteria, że myślałam, że jego też pochował. Oddałam go do szpitala, ze ~~szapi~~ szpitala jakoś wrócił i jakoś się wyleczył. Na polach żyły dzikie króliki w jamach, trzeba było wodę lać do tej jamy i one wypływały. Jemu doradzili ruskie, żeby zabijał te króliki i pił stopiony tłuszcz. I mój brat tak robił i wyleczył się.

Jeżeliśmy też żółwie- miały one bardzo dobre mięso. Wkładaliśmy je do ogniska, skorupy pękały i można było powybi-
-erać mięso i gotowaliśmy rosół, jedliśmy też jajka żółwie.

W Kazachstanie też mieszkaliśmy w lepiankach, robione były one z krowiego łajna. Było w nich bardzo dużo pluskiew. Mało nas one nie zjadły. Co myśmy nie robili, żeby się ich pozbyć! Parzyliśmy wrzątkiem, te lepianki były z łajna i słomy, mnóstwo pluskiew w nich mieszkało.

Mieszkało nas w tej lepiance siedem osób: nas czworo i ta pani z dwojgiem dzieci.

W tym pierwszym kołchozie spaliśmy na podłodze na sianie, w kołchozie porobiliśmy sobie prycze z konopi, z tych grubych patyków, potobiliśmy sobie maty. Kładliśmy się na deski, jak człowiek wstał to dziury w plecach były.

Nad tą dużą wodą to mieszkaliśmy pod gołym niebem To był listopad, ale było ciepło. Ja jeszcze mojego małego w rzece kąpałam.

Było przedstawicielstwo władzy polskiej. Nawet jak byliśmy w tym sowchozie to był taki przedstawiciel władzy polskiej, pośrednik między nami, on jeździł zawsze i dostawał ten przy-
-dział- ile miał tych osób pod sobą to dostawał mąkę to ryż to kawę, to cukier i przyjeżdżał i dzielił dla wszystkich. Nawet i czekoladę dostawał. Dużo Ameryka i Anglia pomagały.

Potem taki przyjeżdżał pan z ambasady, Polak i mnie tak namawiał koniecznie, żebym z nim wyjechała do Iraku. No młoda byłam jeszcze, widocznie mu się podobałam. I mnie namawiał, ale siostry mieliśmy wówczas w sierocińcu tylko my z bratem byliśmy w tym sowchozie. Ale ja się nie mogłam zdecydować a kiedy się zdecydowałam to on już wyjechał.

To jeszcze przysłał mi paczkę z Iraku do tego

sowchozu. Przynoszą mi paczkę, ja myślę skąd, a potem w tej paczce czytam "żałuj, żeś nie pojechała". On jeszcze jakoś z tą placówką wyjechał, a mnie się nie udało.

Kiedy zaczęły się tworzyć polskie sierocinice- one miały ponoc z Ameryki- zabierano dzieci polskie, żeby odciążyć rodziny. Moje siostry się tam dostały i tam były. A jak później zamknęli tą granicę to oni chcieli ich do ruskich, to już myśmy nie pozwolili. Tam jeszcze ładzia była taka i ona miała dwie siostry i ja miałam, no i myśmy zabrały te siostry. No bo one młode były gdy nas wywieźli- jedna miała 12 a druga 15 lat. To już w tym Kazachstanie one były w sierocińcu, krótko były, chyba z rok.

Myśmy zajechali w lipcu, to już we wrześniu wyjeżdżaliśmy, już na własną rękę. Składaliśmy się, zebraliśmy trochę pieniędzy i zakupiliśmy wagony, żeby pojechać w głąb Rosji szukać jakiegoś miejsca, żeby nie na Syberii, bo tam ruskie krzyczeli: wy Polaki ujeżdżajcie odsiuda bo pomierznicie jak sobaki". Tam trzeba było mieć kożuchy, te pinie jak oni nazywali a my nie mieliśmy ciepłych rzeczy. Jak wyjeżdżaliśmy na początku października to już uszy i nosy podmrażali.

No i jak wsiedliśmy to tak wozili nas, wozili, nie wiedzieli co z nami zrobić, aż nas wyrzucili nad tą wodą, tam było mnóstwo ludzi, i księża, i siostry zakonne, i msze się odprawiały. Zrobili z desek ołtarz, siostry placuszki z mąki piekły, które ksiądz dawał na komunię. Mężczyźni otoczą ten ołtarz i msza się odprawia, to tych NKWD-ziaków najdzie nas rozpędzić. Staną z boku, postoją, postoją i uciekają. Mieli stracha bo to tyle narodu. Mężczyźni tacy jak dęby. Wówczas sporo zabrali do wojska bo przyjechała Wanda Wasilewska.

Formowali to wojsko i dużo mężczyzn wyjechało stamtąd.

Nie było u nas przedszkoli. Dzieci chodziły samopas.

Stosunki z miejscowymi układały się dobrze, ale byli też źli ruscy.

Na polu pilnował nas taki Wania. On miał rękę przestrefioną na froncie. Ten Wania upobobał mnie sobie i wciąż się do mnie czepiał. Wysyłał mnie na roboty daleko od innych na koniec pola i przychodził do mnie, i namawiał. Ja mu powiedziałam, że prędzej umrę niż z nim się będę zajmować. On miał żonę i trójkę dzieci.

Pewnego razu moja siostra dostała febrę, leżała w bruździe i miała ataké. On przyszedł i kazał jej wstać. Powiedziałam, że ona nie wstanie, bo jest chora a poza tym wcale nie musi pracować, bo jest małoletnia i tylko z własnej woli przyszła nam na pole pomagać. Wtedy on mnie wyzwał i krzyknął: O ty Palaczka w rot jebana, pierwej mi wołasa na ruce wyrastut, czem ty Polszu uwidzisz." Co miałam robić nic nie powiedziałam.

Na drugi dzień przyjechał taki predsiedatiel z rejonu i było z nim spotkanie. Po spotkaniu nie wytężymałam, wstałam i rozplakałam się, i powiedziałam o tym jak mnie ten Wania napastuje. On tak zbeształ tego Wanię, że on stał purpurowy i potem już pracowałam ze wszystkimi, a on mnie omijał z daleka. A jak już wyjeżdżaliśmy do Polski to ja zobaczyłam, że Wania stoi ze swoją żoną Marusią i się na nas patrzy, stanęłam na wozie, podparłam się pod boki i krzyknęłam: I co Wania, ty w rot jebany, wołasa тебе wyrasli? My w Polszu ujeżdżajem a ty tu podachniesz kak sobaka! To wszyscy zaczęli mi brawo bić.

¶ Niektórzy ruscy byli naprawdę dobrzy. Bywało siadamy

na polu, jest przerwa na obiad. Oni siadają w jednej kupce, my w drugiej. Oni jedzą obiad a my nie mamy co jeść, więc -ty tylko siedzimy i patrzymy. To one litowały się nad moim bratem -tem bo taki był mizerny i wołały go do siebie. Dawali mu trochę jedzenia a on się dzielił ze mną.

Alfreda
8.05.1992 Białystok